

Dostrzec jasność w cieniu

Szkic o twórczości Zdzisława Beksińskiego

Pomiędzy załatwieniem swoich zwyczajnych krakowskich spraw a powrotnym pociągiem do Warszawy miałem niewiele czasu. Akurat tyle, żeby skryć się przed deszczem w miłym lokalu i zjeść coś w samotności albo obejrzeć ostatnią wystawę. Drugie rozwiązanie zapowiadało pustkę w brzuchu, ale tak czy inaczej zdała mi się ona bardziej pociągająca niż pustka w głowie, z którą wiązała się opcja pierwsza. W ten oto sposób – tramwajem numer 73, przez coraz bardziej szare otoczenie – jechałem ku Nowohuckiemu Centrum Kultury, żeby obejrzeć prace Zdzisława Beksińskiego, które – jak sądziłem – pokryją ten dzień jeszcze grubszą warstwą ciemnej szarości i niepokoju.

Być może podenerwowanie spowodowane głodem, być może pogoda albo znów wrodzona przekora, a może wszystko to po trochu spowodowało, że na widziane po raz pierwszy na żywo obrazy Beksińskiego spojrzałem jak na najwspanialsze wybawienie z obejmującej mnie tego dnia aury. Przygotowany byłem na zgoła inne wrażenie, rozwiła się ono jednak natychmiast po wkroczeniu z zimnego osiedla do galerii, w której wnętrze wsączały się setki barw z obrazów. Im dłużej się im przyglądałem, tym bardziej absurdalne wydawały się wszelkie lęki i obawy, z którymi przekraczałem próg wystawy. Dopiero na żywo, z bliska i pod odpowiednim kątem widać, że smugi pozostawione przez pędzel wykraczają ponad to, co widać w reprodukcjach czy na zdjęciach. Pokryte farbą włosie dotyka równoległej rzeczywistości – malarstwo Beksińskiego opowiada własną historię, przecząc pozornemu przecuciu rozkładu i zniszczenia.

Zamiast strwożonych widmowych oczu czułem na sobie spojrzenia istot skrywających się przed światem realnym w fantastycznym uniwersum za woalem płótna. Ich ślepia zdawały się paść pustką nie ze strachu, lecz dlatego, że odbijały to, co na zewnątrz obrazu. Pod tymi powiekami wciąż gnieźdzą się widoki komunistycznej Warszawy, ciasnych pomieszczeń oraz śmierci mężczyzny, który powołał te istoty do życia.

Wyobrażenie o bezlitosnym pesymizmie twórczości Beksińskiego rozpływało się w złocie, błękitach, zieleni czy burgundzie płócien. Nawet jeśli te barwy były tłem dla pierwszego planu dzieł, wciąż stanowiły o nadziei – choć skrytej za horyzontem, to oświetlającej twarz oglądającego, odcinającej się od czerni i szarości świata. Zgoda na utrwaloną w chóralnym głosie krytyki opowieść o twórczości Beksińskiego wydała się nagle zbyt łatwa, niewystarczająca. Cień nie istnieje jednak bez światła; zjawy niosą w sobie

pierwiastek życia; niewidzące oczy są ślepe na zło, a lęki dają się oswoić. To uniwersum nie jest apoteozą ciemności, lecz ucieczką od niej.

Sam malarz, rozpoczynając pracę nad obrazem, nie zakładał umieszczenia w nim symboliki, mającej ostrzegać lub przepowiadać katastroficzną przyszłość. Jego płótna były raczej strumieniem wypełnionym wszelkimi nastrojami, których doświadczał, całym otaczającym go światem. Skoro zaś nie formułował założeń, to nie można nazwać go katastrofistą. Intencji artystów nigdy nie da się do końca przeniknąć, co pozwala dostrzec światło tam, gdzie z pozoru jawi się jedynie mrok. W pracach Beksińskiego afirmacja życia skrywa się w odbłasku słońca na źrenicy, w cierplivej statyczności i pozahoryzontowych zorzach. Jeśli sprowadzić wrażenia wywołane przez te płótna do jednej myśli, to byłoby to pytanie: którą stronę obrazu – wewnątrz czy zewnątrz – spowija większy mrok?

Tego dnia w galerii w Nowej Hucie na chwilę wyzbyłem się obaw. Modernistyczny budynek opuszczałem z pustką w żołądku, lecz z głową wypełnioną głosami. Nie były to zawodzenia czy jęki, raczej delikatne szepty. Pociąg miał opóźnienie, do domu wróciłem późną nocą. Przez cały czas nie przestawało padać.